
MŁODY LAS
CZERWIEC 1939
19



NAJPIĘKNIEJSZY DZIEŃ

Tak ciągle jeszcze żywo pamiętam,
Jak w jeden z cudnych, wiosennych dni
Nadeszła pierwsza Komunia święta,
By w mojej duszy jak gwiazdka lśnić...

Nad ziemią wówczas niebo śpiewało,
Lecz ja czekałem na jeden szept,
Widziałem tylko tę Hostię białą,
Prosiłem tylko, by Jezus zszedł...

I Jezus zstąpił — szczęście ogromne! —
Objął me serce jak dobry brat —
Dnia tego nigdy już nie zapomnę,
Wyszedłem z Bogiem w piękniejszy świat.

Stanisław Borski



Z jakąż żarliwością oczekiwał Jacuś pierwszej Komunii św.!

Cieszył się na ten wielki dzień, tęsknił za chwilą, w której z bliska, poufale będzie mógł rozmawiać z tym Panem Jezusem, którego tak bardzo kochał. Miał do Pana Jezusa mnóstwo spraw.

Wiedział wprawdzie, że Pan Bóg jest wszędzie, że zawsze nas widzi i słyszy nasze modlitwy i prośby, ale jednak myślał gdzieś, w samej głębi duszy, że gdy Pan Jezus będzie obecny w jego serduszku, próśb jego i modlitw wysłucha lepiej, tak jakoś bardziej z bliska. Nawet trzeba przyznać, że pacierz mówił teraz z mniejszą uwagą, bo ciągle nieopuszczała go myśl, że prawdziwa modlitwa, modlitwa trafiająca do Bożych uszu, tak jak słowa prośby trafiają do uszu mamy, będzie dopiero wtedy, w ów wielki dzień, gdy Pan Jezus zamieszka żywy, prawdziwy w jego serduszku.

I układał sobie ciągle, o co się będzie modlił przez chwilę tej Bożej wizyty. Powtarzał sobie wszystkie swoje sprawy i pragnienia, które miał zamiar Panu Jezusowi przedstawić. Ale najbardziej, najpoważniej, zastanawiał się nad tym, na jaki cel, na jaką intencję, ofiaruje swoją pierwszą Komunię św. Mama mówiła mu nieraz o tym, jak bardzo kocha Pan Jezus dzieci, przystępujące do pierwszej Ko-

munii św., jak je wysłuchuje, jak wprost nie umie im niczego odmówić, jak wielkie rzeczy może dziecko wyprosić przez swoją pierwszą Komunię świętą.

Jacuś miał wrażenie, że trzyma w ręku olbrzymi skarb, że dostał czarodziejską, cudowną władzę, i że może otrzymać to, czego pragnie najwięcej.

Ale oto właśnie: tu był cały kłopot. Czego Jacuś pragnie najbardziej? Zdawało mu się, że za cenę swojej pierwszej Komunii świętej, może otrzymać tylko jeden dar, jedną łaskę, tak jak w bajce o tych ludziach, którzy mieli wyrazić jedno tylko jedyne pragnienie. Nie wiedział, że Pan Bóg żąda od człowieka jednego tylko daru: daru serca, a otrzymawszy to, obsypuje człowieka powodzią dóbr i łask. Nie, tego Jacuś jeszcze dobrze nie rozumiał. Wyobrażał sobie, że musi się dobrze namyślić, co będzie jego główną prośbą, bo to otrzyma na pewno.

A wybór był trudny. Właściwie miał ochotę ofiarować pierwszą Komunię św. na tę intencję, żeby być zawsze grzecznym, żeby się zawsze dobrze uczyć. Uważał, że taka prośba wysłuchana zapewni mu życie spokojne, cnotliwe i dobre. To było pozbycie się wszelkich trudów, trosk i walk. Oczywiście przelatywały mu przez głowę myśli zupełnie głupie, wprost bezbożne, żeby ofiarować pierwszą Komunię świętą na tę intencję, żeby pojechać w lecie do Zakopanego (o czym była mowa, ale tak niepewnie) albo na tę intencję, żeby dostać rower. Takie myśli oddalał od razu i bez namysłu, ale jednak miał wątpliwości, czy dobrą intencję wybrał, ofiarowując swoją pierwszą Komunię św. na intencję swojej grzeczności, czy nie zanadto samolubną. Więc znowu decydował się ofiarować Komunię św. na intencję mamy.

Mamę kochał Jacuś niezmiernie. Wprost ją uwielbiał. A mama nie miała się dobrze. Wiedział o tym doskonale. Tatuś nieraz naradzał się z doktorami i zwykle wtedy miał taką smutną minę, że okropna, przerażająca trwoga chwytała Jacusia za gardło. Mama niedawno chorowała bardzo ciężko. Na szczęście wyzdrowiała, ale Jacuś słyszał doskonale, jak doktór mówił do tatusia: No, jeśli się to jeszcze raz powtórzy, to nie mogę ręczyć za...

Jacuś nie dosłyszał za co, ale wiedział doskonale, że doktór nie może ręczyć za życie mamy. Nie, nie mógł po prostu o tych rzeczach myśleć.

Tak, rozważywszy wszystko, postanowił już prawie na pewno ofiarować swoją pierwszą Komunię św. za mamę, za jej zdrowie, gdy nagle, nie wiadomo skąd strzeliła mu do głowy ta straszna myśl. Straszna była oczywiście tylko dla niego.

Bo Jacuś nie lubiał, ale to wręcz nie lubiał wuja Józia. Tak jakoś poklepywał go



zawsze po ramieniu, czasem nawet uszczypnął w policzek, zawsze tak jakoś do niego mówił, jakby był małym dzieckiem, stawiał niemądre pytania. No, dość, że go nie mógł znosić, i myśl, że za niego, właśnie za niego, mógłby ofiarować swoją pierwszą Komunię św., jemu oddać ten skarb największy — była nieznośna.

A jednak myśl ta uparta i natarczywa wracała ciągle. Właściwie to nie za wuja Józia tak w ogóle, chciał ofiarować Jacuś swoją pierwszą Komunię św.; przyszło mu na myśl, żeby ją ofiarować za jego nawrócenie.



Jacuś wiedział i rozumiał już wiele rzeczy, od dawna wiedział, że wuj Józio jest jakiś trochę inny niż wszyscy. Że wuj Józio nie chodzi do kościoła miał już dawno podejrzenie, ale upewnił się o tym dopiero zeszłego lata, gdy wszyscy byli razem w Orłowie. Kilka razy dosłyszał, jak wuj robił jakieś niewłaściwe dowcipy na temat Kościoła, postu, modlitwy. Co prawda, tatuś gniewał się wtedy bardzo i albo dzieciom kazał wyjść z pokoju, albo zwracał mu inaczej uwagę, żeby takich rzeczy przy dzieciach nie mówił.

Jacuś wiedział doskonale, że z wujem jest coś niedobrego, bo mama mówiła o nim zawsze »ten biedny Józio«, a tatuś zwykle marszczył surowo brwi.

Ale choć z wujem Józiem nigdy »dobrze« nie było, teraz, od jakiegoś czasu, było jeszcze gorzej. Przestał już w ogóle do nich przychodzić. Tatuś powiedział, że »takiego człowieka« nie może w swoim domu przyjmować, a mama płakała i mówiła, że »ten ślub cywilny Józia« wpędzi ją do grobu.

Jacuś dokładnie nie rozumiał, o co chodzi. W końcu, podczas lekcji religii z mamą, gdy tak cicho i spokojnie dokoła, gdy nikt nie słucha, gdy można swobodnie pytać o wszystko, nawet o to, co nie dla dzieci, nawet o rzeczy najgłupsze, zapytał Jacuś mamy, co to wszystko z wujem znaczy, co to jest ślub cywilny, dlaczego wuj do nich nie przychodzi, i dlaczego mama płacze, a tatuś się gniewa, gdy o nim mowa.

I wtedy mama wszystko mu wytłumaczyła, że wuj Józio jest niewierzący, że nie wierzy w nic, ani w Kościół, ani w sakramenta, ani w Pana Boga.

Jacuś w pierwszej chwili trochę się przeraził. Domyślał się, że są ludzie źli, niepobożni i niewierzący, i że do nich należy wuj Józio. Ale żeby tak nie wierzyć nawet w to, że istnieje Pan Bóg... I gdy to sobie uprzytomnił, wybuchnął oburzeniem.

Ale tu niespodziewanie mama ujęła się nieco za grzesznikami. Mówiła, że Pan Bóg jest miłosierny, że jest cierpliwy, że zostawia ludziom czas do opamiętania i poprawy, że gdyby tak od razu za każdy grzech chciał każdego karać, to już w ogóle nie byłoby ludzi na świecie, bo przecież każdy z nas jest grzeszny, a mimo to Pan Bóg go kocha, grzechy mu przebacza i pomaga do poprawy.

Oczywiście trochę mama przesadzała, tak porównując »wszystkich« a więc siebie z grzesznikami, z takim wujem Józiem! Mama na pewno grzechów nie miała, no w każdym razie niewiele, może jeden, może dwa...

— Ale jak to jest możliwe, ale to zupełnie głupie, żeby nie wierzyć i nie kochać Boga! — powtarzał Jacuś.

— Nie używaj, Jacusiu, takich słów ani o wuju, ani o nikim — znowu upomniała mama. Choć oczywiście, nie postępują mądrze ci ludzie, którzy w Boga nie wierzą. Tylko widzisz, na to żeby wierzyć, trzeba mieć łaskę Bożą. Pewnie, że człowiek jest dużo winny sam, bo łaskę daje Bóg wszystkim, ale jest także i nieszczęśliwy, ma stale łuskę na oczach... Trzeba się za nich modlić, bardzo modlić. Trzeba prosić Pana Boga, żeby ich oświecił, żeby im tę łuskę z oczu zdjął. Za wuja Józia też trzeba się modlić, bardzo, bardzo modlić...

I wtedy, w tej właśnie chwili przeleciała Jacusiowi przez głowę ta myśl odrażająca, żeby swoją pierwszą Komunię świętą ofiarować za wuja Józia z prośbą o łaskę wiary dla niego.

I już nie mógł się tej myśli pozbyć. Nachodziła go jak pokusa, przykra, gwałtowna, niemiła, dręcząca.

A z drugiej strony wiedział, że nie może zrobić inaczej, i że nie powinien. P. Jezus nie wahał się oddać za nas życia, żeby nam otworzyć niebo; czy mógłby się lepiej przypodobać P. Jezusowi, niż przez

ofiarowanie swej pierwszej Komunii św. za nawrócenie brata swej mamy?

Byle się tylko nie zachwiać! Teraz, gdy się modlił, zamykał tylko oczy i powtarzał: Panie Boże, daj żeby się wuj Józio nawrócił, żeby mu spadła łuska z oczu.

Pewny już był niezbicie, że to nie była myśl jego, tylko myśl podsunięta mu przez Pana Boga, że tego właśnie wyrzeczenia się własnych pragnień, własnych modlitw, własnych intencyj żądał od małego Jacusia Pan Bóg. A Jacuś, który był szlachetny i hojny, nie umiał się z Panem Bogiem targować. Gdy Pan Bóg zarządał — zgodził się od razu, chociaż dziecinne serduszko bardzo, bardzo bolało...

Ale Jacuś był mężny.

Toteż, gdy w wilię pierwszej Komunii świętej zapytała go mama, czy sobie już umyślił, na jaką intencję tę Komunię świętą swoją ofiaruje, odpowiedział głosem zupełnie spokojnym i zdecydowanym:

— Za wuja Józia, mamo, żeby się nawrócił i żeby mu spadła łuska z oczu.

Zdawało mu się, że mama drgnęła. Tak jakoś dziwnie na niego popatrzyła, trochę rozszerzonymi oczyma, trochę się od niego odsunęła.

Przeraził się.

— Co? — czy źle?

— Nie, nie źle, synku mój! Dobrze! Cieszę się, że mam takiego... i mama niedokończyła, bo odwróciła się prędko i Jacusiowi wydawało się, że ma łzy w oczach.

Dziwni są starsi. Płaczą, gdy się martwią. A gdy mówią, że się cieszą, też płaczą.

A mama rzeczywiście płakała, bo zrozumiała doskonale, jak wielką ofiarę złożył Jacuś ze swoich najdroższych pragnień i nadziei. Zrozumiała także, że ma synka apostoła, że zapewne kiedyś, będzie go musiała oddać Panu Bogu, tak jak on teraz oddawał wszystko dla zbawienia drugich. Ale płakała też ze szczęścia, bo rozumiała, z jak niezmierną i tkliwą miłością patrzał w serce Jacusia Pan Bóg, jak łaską swą i darami wypełniał to serduszko, które w dniu pierwszej Komunii świętej złożyło ofiarę najwyższą, jaką człowiek złożyć może, ofiarę Panu Bogu najmilszą, ofiarą z własnego samolubstwa.



Zofia Starowieyska-Morstinowa





Przed wyrokiem

Zanim nastąpi chwila rozdania rocznych świadectw, wszyscy chodzą niespokojni i zmętniali. Zawsze może zajść coś nieprzewidzianego. Że jednak mnie osobiście, wyjątkowo trzęsły się łydki a język przysychał do podniebienia, to zrozumiecie, gdy wam opowiem rzecz następującą:

Na półrocze dostałem singla z rysunków. Jak szkoła szkołą, nie zaszło dotychczas nic podobnego. Osiągnąłem w swoim rodzaju rekord. Bo to nie chwaląc się, miałem już dwóję z matematyki, ba z przyrody. Ale niedostatecznie z rysunków... I nie dlatego abym najgorzej rysował z całej klasy. Niby nikt nie przepowiadał, że zostanę drugim Matejką albo czwartym Kossakiem. Dlaczego czwartym? To wy nie wiecie, że Juliusz Kossak malarz znamienity miał syna Wojciecha, również świetnego malarza, którego znowu syn Jerzy jest również malarzem?

Co mówicie? Że to nie ma nic wspólnego z moim opowiadaniem? Prawda. Na czym to ja się zatrzymałem... aha. — Nie rokowałem wielkich nadziei malarskich, coś tam jednak umiałem niekiedy nasmarować. Memu nauczycielowi szło o to, że jestem — jak się wyrażał — niedbały.

Oczywiście przesadzał jak każdy z pedagogów. Że tam rysunki były co pewien czas, powiedzmy mniej więcej codziennie, powalane i pobrukane, albo w ogóle ich nie było, że kartki były pomięte i pogięte, że nie miałem nigdy wycieraczki... No, co jest?! Przecież nie mówię o wycieraczce do podłogi, tylko do rysunków. Niektórzy nazywają to gumą albo jeszcze gorzej radyrką. No i jeszcze, że nigdy nie miałem ołówka, scyzoryka itd... Z tego nie wynikało, aby mnie obrażać mianem niedbalca.

Kiedy na półrocze oberwałem singla w szkole — a w domu...? Nie poruszajmy nieciekawych tematów. Wymówki słowne i czynne rozstroiły mnie niepomiernie. Otóż otrzymawszy wyżej wzmiankowanego singla, przez jakiś czas pilnowałem się. Gdy nastała wiosna, znowu popadłem w zatarg z nauczycielem. A to się spóźniłem, a to zapomniałem rysunku, a to znowu co innego. Wszystko przez wiosnę, która każe myśleć o ptaszkach, kwiatkach i innych niebieskich migdałkach...

Wreszcie zbliżała się klasyfikacja i mój rysownik oświadczył, że o ile nie wykażę się kilkoma pięknymi rysunkami, dostanę dwóję na świadectwie. Wtedy zwróciłem się do mego kolegi. Nazywał się Jerzy Alfred Szczypalski. Pomyślcie: taki młody a już dwojga imion. Uszczypnąłem go uszczypliwie pewnego dnia w ambicję, powiadając:

— Gdybyś umiał, mógłbyś mnie poratować. Dwa, trzy rysuneczki... Ale mam wrażenie, że nie zdołasz... Talent ci się wyczerpał...

Szczypalski łypnął złowieszczo, przekąsił z przekąsem obelgę, jaką chciał mnie uczęstować, a następnego dnia przyniósł mi trzy przepiękne rysunki. Nawet były za ładne, jak na to, że ja miałem być ich sprawcą. Szczypalski musiał je nieco popsuć, co uczynił, wzdychając i pomrukując.

Ostatecznie miałem trzy rysunki, świadczące o wielkiej pracy a tak czyściutkie, że można się było w nich przeglądać. Zgłaszam się do profesora. Cała klasa czekała na to, co nastąpi. Przyznać należy, że Szczypalski mistrzowsko zachował wszystkie moje błędy w rysunku, a równocześnie jakby je uszlachetnił. Jakby to wykonały moje ręce, którymi poruszał właśnie nie kto inny tylko Szczypalski.

Profesor powoli objął mnie spojrzeniem swych bardzo zielonych oczu, zimnych i przenikliwych. Odważnie zniosłem ten wzrok. Pokiwał głową.

— Twoje rysunki?

Właściwie to nie zapytał, ale tak ani stwierdził ani zaprzeczył. Odrzekłem:

— Tak jest, panie profesorze.

Nastała cisza. Profesor podparł brodę ręką i odezwał się:

— Możesz mi dać na to słowo honoru?

Zmartwiałem. Przepaść otwarła się pode mną a ja stoczyłem się na samo jej dno. Jakby przez sen słyszałem swój głos:

— Panie profesorze, na to słowa dać nie mogę.

— Od kogo masz te rysunki?

— Tego nie powiem — wykrztusiłem i począłem ryczeć. Pomyślcie: ja, trzynastoletni mężczyzna ryczałem jak jedenastoletni smarkacz.

Szczypalski zrobił ruch ręką, jakby chciał uszczypnąć powietrze, powstał i rzekł:

— To moje rysunki.

— Poznałem od razu — zauważył obojętnie profesor. Siadajcie obydwaj.

Po skończonej godzinie, zbliżyłem się do Szczypalskiego:

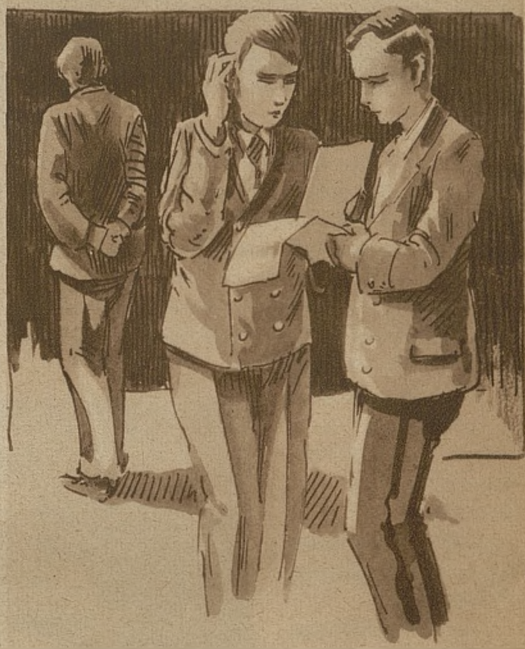
— No i cóż ty na to?

— Phi — zagwizdał, jakoś cienko i niewyraźnie. Mogą nas wyrzucić za to ze wszystkich szkół.

— Dziękuję ci. Już to otuchy to ty umiesz dodać.

Czekaliśmy na wyrok. Nadeszło rozdanie świadectw. Szczypalski rozdygotanymi rękoma porywa świadectwo i nagle twarz mu się rozjaśnia, jakby go kto na sto koni wsadził. Nie wiem coprawda, jakby się cieszył ten dosłownie, którego by wsadzono naraz na sto koni. Musiano by go przedtem pociąć na sto części.

A teraz kolej na mnie. Pewny singel. Albo i co gorszego. Wytrzeszczam oczy.



Dostatecznie. Słabo mi. Mdleję. Od razu będę mdlał. Gdzie Szczypalski? Pokaż, co masz. Bardzo dobrze, ze szczególnym zamiłowaniem w przedmiocie? Czyli jak dawniej. A ja mam dostatecznie.

Runęliśmy w stronę profesora. Na dwa głosy poczęliśmy bełkotać podziękowania. A on spojrzał spokojnie i przemówił:

— Przyznaliście się do winy. Spełniliście prosty obowiązek. Nadto nic więcej. Ale jeżeli myślicie, że przyznanie się do winy, maże ją zupełnie...

Odszedł. To nam dał rady. Pewnie. Szczypalski odszedł zawstydzony. A ja... śmiejcie się ze mnie... Przysiągłem sobie, że przez całe wakacje będę pracował po kilkanaście godzin na dobę, a po powrocie do szkoły pokażę moje rysunki. Będą może nieudolne ale czyste. Będą śmieszne, ale moje. Zobaczycie.

A. W.



INTENCJA KRUCJATY

Był sobie kiedyś — opowiada legenda — pewien biedny rolnik. Mało miał pola i skąpe zbierał plony, ale serce miał także jakoś dziwnie chłodne i nieżyczliwe. Pewnego razu, gdy wnosił do domu właśnie co wymłócone zboże, zauważył zbliżającego się ku niemu nieznanego człowieka.

— Czybyś mi nie mógł dać nieco ziarna? — zapytał przybysz.

— Masz, masz! — zaśmiał się wieśniak i rzucił mu szyderczo jedno ziarenko.

Gość uśmiechnął się smutnie, ale podziękował.

— Pragnąłbym ci się także odwzajemnić. Weź to — i podał mu w ręce jakiś przedmiot.



Rolnik ujął dar z ciekawością i nagle wyraz bezgranicznego zdumienia odbił mu się na twarzy. Na dłoni połyskiwało ziarno tylko zmienione w złoto.

— Panie! — zawołał — przyjmij jeszcze! — i sięgnął do worka, ale nieznajomy oddalił się szybko i zniknął mu z oczu.

— Pewnie pogniewał się na moje skąpstwo — pomyślał z żalem wieśniak i wszedł do swojej biednej chatki.

* * *

Wędrowiec tymczasem przemienił się zwolna w dostojnego pana o ujmującej powierzchowności. Z twarzy i z oczu promieniowała mu przedziwna dobroć i słodycz i w tej postaci podszedł do jasnowłosego chłopczyka. Dziecko spojrzało nań z uszanowaniem i zbliżyło się ku niemu bezwiednie.

— Dałbyś mi pewną rzecz, chłopczyno? — zagadnął słodko nieznajomy.

— Tak, panie. Czego żądasz?

— Chciałbym, żebyś mnie pokochał, żebyś mi dał serce swoje...

— Daję ci je chętnie. — Ty musisz mieć takie dobre serce. Tyś taki miły! Wyglądasz prawie jak P. Jezus...

W tej chwili jasność nadziemska otoczyła owego pana, a głos jego zabrzmiał jak cudna muzyka, gdy się odezwał teraz do chłopca.

— Ja istotnie jestem Jezus. Szukam miłujących serc ludzkich. Ofiarowałeś mi swoje. Będziesz szczęśliwy. Przyjdę do ciebie kiedyś znowu i wezmę twe serce.

— A teraz nie chcesz, Panie?...

— Będzie mi milsze, jak je więcej uszlachetnisz, jak je oczyścisz z różnych wad, jak je upodobnisz bardziej do mojego Serca. Myśl o mym Sercu, Ono tak kocha Boga i ludzi, poświęca się i pociesza. Naśladuj je, a ja cię wspomogę i uczynię szczęśliwym. S. K.

Ilustracja w środku przedstawia pomnik Najśw. Serca Jez. w Ostrowie Wlkp. — Fot „Ilona"



W jasyrze

Powieść historyczna

(Ciąg dalszy)

XII. Nad potokiem.

Dozorca zszedł po kilkunastu krętych stopniach i przekręcił klucz. Wkroczywszy do lochu, nakrzesał ognia. Bietka, przykowana do ściany ciężkim łańcuchem, śledziła ruchy dozorcy, który położył przed nią zawiniątko.

— Księżniczka raczyła ci to przysłać.

Bietka rozpakowała zawiniątko i pokręciła głową, zdumiona. Bukłak, pełen buzy, udziec sarni, winogrona. Nie mając nic w ustach od rana, chciwie poczęła jeść sarninę. Wtem ujrzała oczy dozorcy, wlepione w mięso.

— Chcecie?

Dozorca sięgnął po mięso łapczywie. Nie jadł, lecz do kieszeni schował.

— Dla mego drobiazgu... mam go sporo — wybąkał.

— Weźcie i to. Bietka podała mu owoce i bukłak, sama dla siebie jedną kiść winogron zatrzymując. Dozorca, osłupiały, wybiegł z lochu, zamknąwszy go jednak starannie. — Głupi daje, mądry bierze — rozmyślał. Wpadł do ubogiej izby i tam dzieciarnia otoczyla go. Wyciągnęły się łakomie ręce, wszczęły się kłótnie, aż dozorca rozdzielił między dzieci napój i owoce, a sam zabrał się do sarniny.

Nad ranem zszedł do lochu, kędy przebywała młoda laszka.

— Pójdziesz do pracy. Chusty będziesz prała w potoku.

Zdjął okowy z szyi Bietki, zostawiając łańcuchy na rękach i nogach dziewczyny, po czym wyprowadził ją z lochu. Niebawem Bietka dźwigała z wysileniem ciężki kosz z bielizną, a dozorca zawiódł ją nad rwący potok.

— Pracuj, wrócę wkrótce. Ale... zawahał się. — Dlaczego wczoraj obdarzyłaś moje dzieci?

— Nasz Bóg powiedział: kto na ciebie ciśnie kamieniem, ty na niego rzuć chlebem.

— Ha no, skoro tak wasz Bóg powiada... — dozorca oddalił się zamyślony. Bietka klęczała nad brzegiem, wkładając chusty do wody. Wtem ktoś ją pociągnął za włosy. Odwróciła się. Przed nią stała dziewczynka, może pięciolatka i wołała:

— Baw się z Fatmą. Fatma to ja. A ty?

— Pracować muszę — ozwała się Bietka. Spojrzała dokoła. — Poczekaj. Ni-





kiś punkt na rwącej fali. Podbiegła ku niemu brzegiem. W miejscu, gdzie utworzył się wir, szamotała sie rozpaczliwie Fatma. Bietka, której młodszy dozorca od rana zdjął łańcuchy, przeżegnała się i wskoczyła w wir. Zakręciło ją okrutnie, ale na wierzch wyrzuciło. Z największym wysiłkiem dopłynęła do tonącej i chwyciła ją za włosy. Ale Fatma, choć taka maleńka, zaciążyła straszliwie. Wtem z tłumu, jaki zebrał się w międzyczasie nad brzegiem, padł w ich stronę sznur. Bietka, opasana nim, posuwała się, aż do brzegu dotarła, trzymając przed sobą nieprzytomną Fatmę. Otoczono je, poczęto tatarską dziewczynkę przywracać do świadomości. Nagle ktoś tłum roztrącił. Ojciec Fatmy z krzykiem padł na kolana przy zemdlonym dziecku. Długo cucono dziewczynkę, aż wreszcie otwarła oczy. Na Bietkę nie zwracano zgoła uwagi. Leżała na trawie śmiertelnie znużona. Po chwili starszy dozorca przystąpił do niej.

kogo nie ma w pobliżu. Ty się zwiesz Fatma? A ja zowię się Bietka.

Powstała i chwyciła w ręce kulkę z pstrokatych gałganków, jaką dziewczynka rzuciła w jej stronę. Odrzuciła kulkę w stronę Fatmy. Zaczęła się zabawa na dobre, gdy naraz Bietka jęknęła. Jakiś człowiek zwalił ją trzciną po palcach bosych stóp, wrzeszcząc: nie pozwalam, aby moja córka bawiła się z niewierną. Bietka przerażona cofała się, nie mogąc zdobyć się na szybsze ruchy, tak ciężkie były jej okowy a człowiek grzmocił ją po drgających palcach.

— Tak pracujesz, żmijo chrześcijańska? Wczorajsza chłosta nie nauczyła cię rozumu? Już ja cię przypilnuję. Nie darmo jestem starszym dozorcą.

Powalił Biekę na ziemię i zdarł bandaże z jej pięt. Trysnęła krew i zajęczała dziewczyna. Dozorca zapędził ją do pracy i pognał za Fatmą, która uciekła w popłochu.

Na noc zagnano niewolnicę do lochu. Poczęły się okropne w jednostajności dni. Od świtu do późnego wieczoru uginała się Bietka pod wyczerpującą pracą a starszy dozorca, ilekroć ją mijał, nie zapominał o uderzeniach i klątwach.

Pewnego dnia, po ulewnym deszczu, potok był tak gwałtownie wezbrany, że dziewczę ledwie mogło się utrzymać, brodząc bosymi, skostniałymi stopami w lodowatej wodzie. Nagle ujrzała z dala ja-

— Gdyby nie ty, straciłbym dziecko. Ałłach cię natchnął...

— Nie — odrzuciła dumnie Bietka. Słuchałam głosu mego Boga, który prawi: kochaj bliźniego swego, jak siebie samego.

Kobiety i mężczyźni rozpraszali się, obrzucając Bietkę spojrzeniami, w których podziw mieszał się ze zdumieniem. Został tylko starszy dozorca, mnący czapę w rękach, aż przemówił:

— Byłem dla ciebie za surowy. Odpuścisz mi to?

— Nam nie wolno chować urazy w sercu — odparła Bietka.

Starszy dozorca oddalił się. A kiedy Bietka wróciła wieczór do swego lochu, zastała w nim światło w kaganku, wiązkę świeżej słomy i garść daktyli na podłodze. I nikt tej nocy nie przyszedł, aby założyć na nią kajdany.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiesław Gorecki

Boże Ciało

W jednej ze swoich powieści pt. »Branka w jasyrze« tak pisze Deotyma: »Uroczystość Bożego Ciała jest może najwspanialszą ze wszystkich uroczystości kościelnych. Obchodzona pod kopułą samego nieba, obsypana deszczem kwiatów i to w najpiękniejszej porze roku, zawsze zachwyca swoją półniezieniską poezją«.

Cały świat, ludzie i natura, korzy się przed Tym, co utajony w Przenajświętszym Sakramencie, przed wiekami zeszedł na ten świat, by mu zbawienie przynieść.

I ta cześć, ta adoracja trwa przez tydzień cały, wszędzie! W całej Polsce, gdzie cały naród w procesjach korne zanosi błagania:

»Ojczyznę wolną zachowaj nam, Panie! Od dawna znaną jest np. w Krakowie, w czwartek po Bożym Ciele, procesja tzw. »mariacka«, po której odbywało się na rynku religijne przedstawienie. Po dziś dzień i w innych naszych miastach, nie ma bodaj piędzi ziemi, po której nie przeszedłby orszak z Panem Bogiem, który





Błogosławi ludzkiej doli,
Co jak szara nić się mota,
I tym wszystkim, których boli
Nędza ziemi i żywota;
Błogosławi kwietnym łąkom,
Błogosławi żyznym łanom,
I wieszczącym świt skowronkom,
I ginącym w mgłach kurhanom!

(Ort—Ot)

Z tymi procesjami wiąże się cały szereg zwyczajów ludowych, które zapewne dobrze znacie lub po wsiach widzieliście. Np. bicie chłopców na kopcach, czy słynny konik zwierzyniecki w Krakowie. Ale wiedzcie, że ten »tańczący konik«, znany jest również w olkuskim i w Trzebini, na Kujawach, w siedleckim i na Podlasiu. Znany jest też i u innych narodów, np. w prowansalskim mieście Aix. Krakowski »konik zwierzyniecki« początkami swymi sięga tych czasów, kiedy to mieszczaństwo tamtejsze wraz z rybakami i flisakami odniosło walne zwycięstwo nad Tatarami. Odtąd bractwo włóczków idzie z jednym spośród siebie, przebranym za Tatara, z buławą w ręku, na drewnianym koniku, na stary rynek dla upamiętnienia zwycięstwa, następnie udaje się w rozgwarze rozbawionego tłumu, igrając z nim, na rynek, by wreszcie dzień zakończyć wielką ucztą flisaków.

Drugim, znanym, zwyczajem okresu Bożego Ciała są »wianki«, które zanoszo-

ne są do kościołów. Tymi wieńcami, w niektórych okolicach zdobi się przez całą oktawę, monstrancje po kościółkach. Potem zanosi się te wianki do domów, a że są wite one z pachnących ziół, kadzi się nimi chaty, pola, stodoły i obory; ma to chronić gospodarzy od wszelkiego nieszczęścia. Nie wszystkie jednak zioła mogą być używane do takich wianków. Każda okolica ma swoje zioła, z jakich tradycyjnie je wije. Np. w krakowskim — rozchodniki, macierzankę, niezapominajki; w Wielkopolsce — z lipiny, dzikich goździków, rozchodnika, rosiczki i td. Na Podlasiu, w ziemi bielskiej, nad Narwią — wije się w każdej chacie 9 wianków, a każdy z innego ziela: kopytnika, rozchodnika, rosiczki, nowiotka, mięty, ruty, stokułki i barwika. W Małopolsce stawia się wianki w rogi stodół; na Mazowszu wiją je ludzie tylko z polnych ziół, a w wigilię św. Jana okadzają krowy, by mleka nie traciły i dzieże, by chleb dobrze rósł.

W Boże Ciało — z Boską chwałą
Słowo nam się chlebem stało.

A. Olexiński



Pamiętacie zapewne o wezwnaiu Ojca św. do dzieci o modły za pokój przez przyczynę Najśw. Panny. Naczelne władze Krucjaty postanowiły wykazać Ojcu św., co w tym względzie uczynili rycerze i rycerki. Nadsyłajcie swe sprawozdania!


Rycerka apostołuje modlitwą

* * *

Kościół polski stracił w ostatnich dniach dwóch arcypasterzy: Ks. pb. Przeździeckiego i ks. bp. Laubitza. Wszyscy rycerze i rycerki a zwłaszcza z diecezji siedleckiej i gnieźnieńskiej polecą zapewne w modlitwach ich dusze Bogu. Ks. bp. Laubitz był diecezjalnym dyrektorem Krucjaty.

* * *

Zbliża się wspaniała uroczystość: 25 letnia rocznica założenia Krucjaty. Było to, jak wiecie — w Lourdes, u stóp cudownej figury Najśw. Panienki.

Nad światem szalała wówczas burza wielkiej wojny. Starsi poszli w bój, dzieci postanowiły pracować także niezmordowanie tym, czym ich gorące serduszka rozporządzały: modlitwą do Boga i ofiarnością dla Ojczyzny. Powstała Krucjata Eucharystyczna.

Dzisiaj także grozi nam niepokój i trzeba światu również waszych modlitw i ofiarności. Wielka rocznica pobudzi was do nowych postanowień.

* * *

Zarząd Krucjat diecezji lubelskiej urządza w Kiełczewicach k/Lublina kolonię-

kurs dla rycerek KE, mający na celu wyrobienie zastępowych do dalszej owocnej pracy w Krucjacie. Kolonia odbędzie się od 1 do 10 lipca. Koszty utrzymania wynoszą tylko 4 zł za cały czas pobytu. Przewidziane są także zniżki kolejowe. Uczestniczki wysłuchają kilku zajmujących wykładów o celu, zadaniach, organizacji i praktykach religijnych Krucjaty oraz zapoznają się z licznymi zabawami i grami. Byłoby bardzo pożądane, aby i inne koła wzięły udział w tym kursie. Zgłoszenia, potwierdzone przez Księży Opiekunów, kierować pod adresem: Ks. Proboszcz Witold Korsak, Kiełczewice k/Lublina.



Znów uzbierało się kilkanaście listów, na które chciałbym wam serdecznie odpowiedzieć. Przede wszystkim szczerze dziękuję mojemu drogiemu znajomemu **Józiowi Domińcowi z Grojca.**

»Na wiosnę, gdy się drzewa zazielenią, każdy chętnie wymyka się do lasu, by tam spędzić wolne godziny i zaczerpnąć świeżego powietrza. My, twoi prenumeratorzy, czerpiemy z ciebie, Młody Lasku, także wiele przyjemnych wrażeń. Czyta cię tu wiele moich szkolnych kolegów a zwłaszcza koleżanek. Jesteś naszym drogim przyjacielem. Swymi ślicznymi ilustracjami a co ważniejsza, swymi przecudnymi opowiadaniami pociągasz wszystkich do siebie. Z niecierpliwością oczekujemy, kiedy z twych kart napisze do nas Gustaw Morcinek ze Śląska«.

Równie szczery list nadesłała mi **Urszulka Kurkówna z Rybnika na Śląsku,** opisując barwnie, jak to Rybnik witał niedawno goszczącego tam ks. Nuncjusza Apostolskiego Cortesi'ego. Uroczystość wypadła niezmiernie okazale. Ks. Nuncjusz wygłosił piękne przemówienie i pochwałę za wierność i przywiązanie ludu śląskiego do Kościoła, nie zapomni tych chwil także Krucjata, gdyż to ona miała zaszczyt przywitać ks. Nuncjusza i wręczyć mu kwiaty. Ks. Dyrektor filmował cały przebieg tej uroczystości i zostanie z tego piękna pamiątka.

Utwory poetyckie **H. B. z Sandomierza** przeczytałem z wielkim zadowoleniem. Piękne masz myśli i wcale już wyrobiony styl. Skorzystam z nich w roku przyszłym.

Ale najwięcej może ucieszył mnie list **Gertrudy Jarkówny z Łazisk Górnych.** Autor chciał powiedzieć, że w okresie Zielonych Świąt (niedzielę po Zesłaniu Ducha Św.) używa się szat kościelnych zielonego koloru, choć w samą uroczystość Zesłania Ducha Św. odprawia się Mszę św. w czerwonym ornacie, jak to słusznie zauważyłaś.

J. Bartschowi z Poznania, T. Woźniczce z Grzybowa, Szajowskiemu z Chełmna, Szcz. Wróblowi z Mikołowa, R. Krzyżanowskiemu z Lublina nadmieniam, że życzenia ich będą spełnione i że zawiadomię ich osobnymi listami.



Krucjata warszawska bawi się wesoło



✱ XII Narodowy Kongres Eucharystyczny Francuski w Algerze zapowiadał się wspaniale, ale przebieg jego przewyższył jeszcze wszystkie oczekiwania. Legata papieskiego powitano jak najserdeczniej, zjawili się przed nim także przedstawiciele islamu. Wzruszająco wypadła Msza św. dla dzieci przeważnie zrzeszonych w Krucjacie. Ponad 12 tysięcy młodziutkich głosików uczestniczyło w Najśw. Ofierze. 12 tys. gorących serc przyjęło Pana Jezusa w Komunii św., którą rozdzielało 40 kapłanów. (Fot. na dole — Keystone).

✱ Do Paryża wyjechał min. spraw wojskowych gen. Kasprzycki, aby pogłębić polsko-francuski sojusz wojskowy.


Śp. Ks. Bp. Przeździecki

✱ W Lublinie odbył się walny zjazd Związku Harcerstwa Polskiego. W imieniu harcerzy wygłosił wspaniałą mowę woj. Grażyński (fot. na prawo) o miłości i służbie dla Ojczyzny. Harcerstwo polskie liczy niemal 250 tysięcy członków. Poza granicami państwa pracuje 73 tysiące harcerstwa polskiego.



✱ Francja obchodziła 6 maja potężną uroczystość ku czci bohaterki narodowej św. Joanny d'Arc z prezydentem Francji na czele.



Wesoły kącik



Podróż na słońce. Pewien amerykanin obliczył, ile by kosztował bilet kolejowy z ziemi na słońce. Otóż podróżujący musiałby zapłacic 1,800.000 dolarów tj. 9 milionów zł. Przy szybkości 60 km na godzinę podróż trwałaby 286 lat.

Bogaty wujek.

Piotruś: Wiesz, mój wujek ma pełną torbę pieniędzy i ciągle jeździ.

Pawełek: Eee... nie cygań. Czymże on jest?

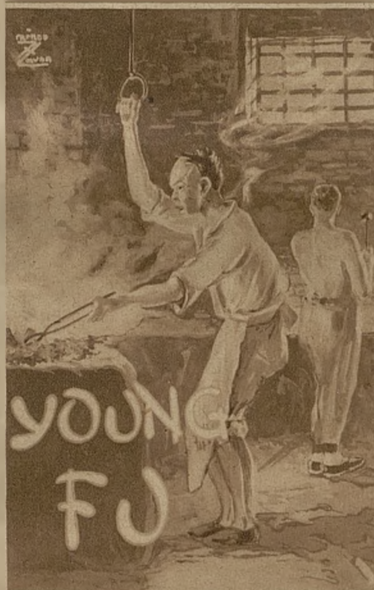
Piotruś: Konduktorem w autobusie P. K. P.

Co czytać?



S. Ochocki, **Zamki na lodzie.** — Powieść dla młodzieży. — Księgarnia św. Wojciecha, Poznań. Str. 189. — Wzruszająca to książka o dziewczynce, która swoją dobrocią zmienia posępnych mieszkańców domu.

Zaciekawi was także powieść E. Foreman-Lewis pt. **Young Fu** — życie i przygody chłopca chińskiego.



Dzieło to zostało nagrodzone jako najlepsza książka dla młodzieży w r. 1933 w Stanach Zjednoczonych. Książka ta stanowi tomik Biblioteki Mł. Lasu. Wyd. Apost. Modlitwy, Kraków.

Chłopcy przeczytają z korzyścią dla siebie książkę E. Frączka, Z. Jarosza: **Nauka latania.** Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa



Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie	3.20 zł
Półrocznie	1.80 „
Kwartalnie	1.00 „

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu, Kraków, ul. Kopernika 26.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUZNAR T. J.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).



Procesja w Boże Ciało w Łowiczu